Lwów 21. Lipca. № 86. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartał. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za następ. po 1½ kr. i zadopłatę 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

XI.

BANKRUT.

(Ciąg dalszy.)

Z upodobaniem patrzała na niego amazonka. Po chwili zaczęła sama:

— Ach pan darujesz, jeżeli moją osobą sprowadziłam pana na ziemię z krainy marzeń...

— O nie pani, odparł Kazimierz, wpatrując się w ładną twarz amazonki, takie istoty jak pani, to wyprowadzają nas z mąk czyścowych do krainy marzeń.

— O mój panie, przerwała, *toujours la même chose*! Myślałam że na tych górach, że na ruinach, śród tych zwalisk i gruzów, że w obec tej cudnej, uroczej natury, inaczej ludzie mówią, że inaczej serca biją... a ja usłyszałam słowa, jakby je wymówiono w salonie, na parkietach... O, to niemiłe rozczarowanie! to wielka proza!

Kazimierz zarumienił się jeszcze mocniej, bo nigdy nie myślał aby dyalog z damą mógł go w taki kłopot wprowadzić. Tymczasem dopomogło samo zdarzenie.

Z za rogu baszty wyszły dwie damy, a za niemi niosła służąca kilka koszyków. Jedna z nich była wysokiego wzrostu, wieku sędziwego, z miłem nadzwyczaj ułożeniem.

— O nie daruję ci mego przestrachu, rzekła do amazonki, gdy nieostrożnie po tej ścieżce jechałaś. Za to powracać musisz w dorożce, razem ze mną!

— Mniejsza o to mamo, jak się powraca, odpowiedziała córka, kiedy już jestem u celu.

Tutaj przystąpił Kazimierz do grona, przedstawiwszy się damom w kilku słowach i ofiarował im jako gospodarz swoje usługi. Ruiny bowiem należały do majątku nieboszczyka jego ojca.

Świeży, żałobny ubiór jego, i świeże ślady głębokiej boleści jego twarzy, ujęły mu serca przybyłych. Zwiedzono zwaliska, mówiono o podaniach ludowych, o pamiątkach historycznych. Damy podziwiały głębokie wiadomości Kazimierza, a Kazimierz podziwiał naukę dam, którym w dziejach ojczystych nic obcem nie było. Cała rozmowa miała na celu rzeczy poważne, toż i umysły nastroiły się poważnie, z pewnym oddźwiękiem lekkiej melancholii. Przeszłość, wspomnienia, wszystko to rozbudziło w ich sercach strunę uczuciową. Nawet piękna amazonka utraciła coś z wrodzonej sobie pustoty, a nawet odzyskała napowrót swą wiarę, że na tych górach, w obec ruin i gruzów i przecudnej natury, inaczej serca biją, inaczej ludzie mówią!

— Przyznam się panu, rzekła do Kazimierza, że jestem zadowoloną z mojej wycieczki, mimo to że po pierwszej pana przemowie strasznie rozczarowaną byłam. Marzyłam, że zdybię coś idylicznego, kogoś z Arkadyi, pasterza lub pustelnika, a ja usłyszałam zwyczajnego salonowca!... Moja poezja rozwiała się, a jam stanęła jak bankrut...

— Bankrut? powtórzył Kazimierz z dziwnym akcentem.

— Tak jest, bankrut... Sądzi pan że tylko kupiec może *zbankrutować?* O wszyscy bankrutujemy, zacząwszy od dzieciństwa aż do grobu. Bankrutujemy w marzeniach o cackach, bankrutujemy w nadziejach i snach naszej młodości... bankrutujemy w uczuciach i myślach, w dziełach naszych i czynach... w systematach rozumu i obyczajach ojczystych, bankrutują ludzie, mocarstwa i narody! Każda myśl, każde uczucie, każde dzieło, ma swój punkt najwyższy, a gdy od niego schodzi, jest... bankructwo.

— O jakże czarno pani na świat patrzy! Czyż nie może nas nic ochronić od tego bankructwa?

— Ach! jest to przeznaczenie wszystkiego na ziemi!

— Bynajmniej! pierwszy lot nasz pochodzi z ręki Boga, a jeźli z wysokości naszej na ziemię upaść nam przyjdzie, powinniśmy usilną pracą zbudować sobie na niej takie wywyższenie, któreby zbliżało się do owej pierwotnej wysokości, dokąd nas niegdyś skrzydła uniosły... Wytrwałość, usilność i praca budują nam stałe, niezachwiane wywyższenie, a strąconych z wysokości podnoszą...

— Dajmy na to, pan jesteś dumnym mieszkańcem tego pysznego zamku, i widzisz że zamek ten w gruzy się rozsypuje, a z nim i urok wyniosłości pańskiej?

— Wtedy zostawiłbym gruzy jako przeszłość za sobą. Tam, tam w świat pracy, gdzie ta chatka przyczepiła się do skały szarej, tam bym taką samą chatkę sobie z pozostałych gruzów ulepił, a szanując przeszłość, kochałbym nowe moje ustronie...

Amazonka spuściła ku ziemi czarne oczy, i wyrzu-

cała sobie, że przyprowadziła młodzieńca do takiego szczerego wylania się. Kazimierz bowiem mówił z dziwnym zapałem, a gdy ochłódł, wstydził się tak nieprzyzwoitego zachowania. Skierował rozmowę na rzeczy obojętne, a że już słońce dobrze ku zachodowi się miało, postanowiło towarzystwo zamczysko opuścić.

Sprowadzając damy przez stromą, głogiem obrośniętą ścieżkę, podał z kolei rękę amazonce.

— Pan mieszkasz we Lwowie? rzekła widząc się blisko dorożki.

— Tak jest.

— Więc do zobaczenia!

— Do tego czasu może utracę moją poezją, odparł Kazimierz z bolesnym uśmiechem, tak jak pani lękałaś się o nią przy gruzach!...

— Jakto?

— Dzisiaj mam urok.. bogactwa... marzeń... a wtedy może będę bankrutem!

— Pamiętasz pan moje słowa, ja pańskich niezapomniałam: *Wytrwałość, usilność*...

Tutaj dosiadła rumaka i mimo prośb matki, naprzód popędziła.

Kazimierz patrzał długo, a gdy w zakręcie wszystko znikło, rzekł do siebie:

— Ona mnie nie zrozumiała!

XII.

OŚWIADCZENIE.

Wróćmy do Roberta. W marzeniach poety zrobił się dziwny jakiś chaos. Jechał on na starej bryczce, dwoma górskiemi szkapami. Słoma rozlatywała się z jego siedzenia na wszystkie cztery wiatry, koła turkotały jakoś nieharmonijnie po skalistej drodze, a nawet świst bata górskiego woźnicy był jakoś dzisiaj tak nieznośny, że siedzącemu w słomie poecie zdawał się rozdzierać serce, jak najswobodniejsza Owidiusza elegia. Na dopełnienie nieszczęścia przejechał jeszcze koło nich kilka razy ktoś w czarnej sukni, a chociaż woźnica nie zaniedbał wyrzucić za nim garść słomy, niemógł jednak ukryć wrażenia, jakie na nim wywarł podobny, według tradycji arcyfatalny kasus.

— Już to panyczu, ozwał się do Roberta, bude jakoweś neszczaśtie!

— Głupi Hryńku! była odpowiedź.

A Hryńko machnął batem, aż na skórze szkapiąt wyraził jak najjaśnicj swoją pogardę dla świata uczonego.

Jakże miał być w marzeniach naszego uczonego jaki ład i porządek, jeśli w otaczającej go nie było naturze!

Po prawej stronie snuło się pasmo gór w najdziwaczniejszych zygzakach, a grzbiety ich były tak połamane i pokręcone, jakby je dotknęła choroba angielska. Tu znowu na czuprynie jakiejś góry czerniał się las gęsty, a śród ciemnej jego barwy wyszczerzyła się przeklęta łysina, psując całą symetrją krajobrazu. Tam nagle załamały się boki szarej góry, a z pod złamanych jej żeber wybuchał z hałasem potok swawolny, i jak pusty dzieciak skakał ze skały na skałę. Buki po lewej ręce wyrosły jakoś za wysoko, a nawet zdawało się, że są drugim bezbożnym babilonem, który niegdyś chciał wybudować tak prostą drogę do nieba, jak dzisiaj szukają najprostszej drogi do Kalifornii. Obok wysmukłych, chudych sosen wyglądały stoletnie dęby jak samolubni kapitaliści z grubemi brzuchami a małem sercem, i wielkiemi haustami wciągały w siebie soki, na żywot tylu drobnych roślin przeznaczone.

Słowem nasz Robert jechał przez jedną z najnudniejszych naszych okolic tatrzańskich, a chociaż w niej systematycznego ładu niedostrzegł, musiał jednak uledz potędze jej uroku, nazywając ją po swojemu: „poezją bezładu".

Wreszcie zbliżyła się bryczka do celu, a tym upragnionym celem była karczma żydowska, ze starym dachem a nowemi ścianami, wyglądająca na nich tam, z pod lasu. Karczma ta utwierdziła jadących w tej słodkiej nadziei, że do zakładu kąpieli, który tylko na parę tysięcy kroków ztąd jest oddalony, najdalej za pięć godzin zdążą. I nadzieja ta nie omyliła ich.

Spuszczając się z narażeniem szkapiąt, bryczki i własnego życia z góry kamienistej przez korzenia, bryły skał i ziemi, wywroty i wymuliska, do wąskiej lasem ogrodzonej kotliny, ujrzał Robert kilka białych domków, jedną ulicę piaskiem wysypaną, a na środku dużą sadzawkę, z której czerpano wodę dużemi wiadrami. Duszny zapach siarki i jodu uderzył mu na piersi, a zabobonny Hryńko niemógł się dosyć nadziwić, po co w tak nieprzyjemną atmosferę nazjeżdżało się tyle luda. A dziwił się jeszcze więcej, gdy się dowiedział, że to sami chorzy, bo nigdy sobie nie wyobrażał, aby można być chorym i spacerować, i tak się bawić! On nieznał takich chorób, a gdy mu Robert chciał coś wytłumaczyć, machnął ręką na cały świat kąpielowy!

Chłodny już był wieczór, gdy wreszcie do zakładu zdążyli. Goście pozamykali okna, aby się nie przeziębić. W całym zakładzie było pusto i wymarło.

Wkrótce okazało się, że proroctwa Hryńka nie były czczemi. Robert bowiem dowiedział się u nadzorcy zakładu, że Kamila wraz z pułkownikiem przed kilkoma dniami odjechała do wód zagranicznych. Już zaczął w dziwaczny wierzyć zabobon, gdy przewracając spis gości, nagle na jednej karcie stanął. Zbladł, a ręka jego zadrżała. On przeczytał między gośćmi imię Julii. I tak było w rzeczy samej, bo matka Julii pierwotny plan podróży zmieniła i udała się do wód krajowych.

Dziwaczne myśli przemknęły po głowie Roberta.

W najodleglejszym budynku, pod dachem na strychu,

najął sobie maleńką stancyjkę, a konie i bryczkę odesłał do karczmy pod lasem.

— Terazto, rzekł do siebie kładąc się na łóżku bez poduszki, dowiem się najlepiej, czem są moje marzenia i uczucia! Czyli piękny ten anioł jest z nieba, czyli jest dzieckiem tego świata! Ztąd przez te szczeliny dachu będę na nią spoglądać, i ujrzę ją w całej prawdzie, tak jaką jest w istocie. Tu będę cierpiał katusze piekła, albo będę czuć roskosze; będę bolał i płakał, a może też...

Tu urwał nagle i wstrząsł głową, jakby jaka gadzina przemknęła przed jego oczy. Po chwili, znużony całodzienną podróżą, zamknął oczy, unosząc swoje marzenia w tę krainę, w jakiej mógł swobodnie bujać, nie nadybując nigdzie przesądów społeczeństwa.

To też bujał i śnił biedny poeta, a nigdy niebyły sny jego tak czarujące, nigdy niebyła Julia dla niego z takiem uczuciem, nigdy jeszcze niebył bliższym swego *„stallum agendi"* a temsamem i pierścionków ślubnych, jak właśnie tej nocy, mimo zabobonnego Hryńka.

Dobrze już było zrana, gdy się obudził nasz „filozof na poddaszu". Przystąpił do okna, zkąd ujrzał zgromadzony już przy wodzie cały świat kąpielowy.

Ciekawy jest to świat taki. Ludzi łączy tutaj jeden wspólny cel; cierpienia fizyczne i moralne, we wszystkich jedne i wszystkim wspólne, najjaśniejszym są argumentem, że osoby i pozycja społeczna niemają w obec takich nieszczęść żadnych względów, i tym samym muszą podlegać warunkom, jakim podlega chore ciało ostatniego nędzarza. Ta odwieczna prawda nie pozostaje tutaj bez wpływu. Toż towarzystwo takie skupia się w węzeł rodzinny, albo utworzy grono przyjaciół a przynajmniej dobrych znajomych, a przypuszczając do swojego koła i „maluczkich", uważa ich w obcowaniu towarzyskiem za równouprawnionych zgodnie z tym, który wodom cudownym nadał siłę dla wszystkich zarówno uzdrawiającą. A jeźli już koniecznie między ludźmi jakieś warunki być muszą, to jedynym przystępu do takiego towarzystwa warunkiem jest, aby mieć jaką taką ogładę i aby mówić w pojęciach cywilizacji dzisiejszej wolnej i przystępnej dla każdego, jak woda, jak powietrze.

Takim to prostym prawidłom podlega towarzystwo kąpielowe wód zagranicznych. Ale jakże inaczej jest u nas!

Nasze kąpielowe towarzystwo dzieli się na niezliczone klasy i gromady, na gatunki i podgatunki, jakoby to była chodząca botanika. Przybywającego gościa ogląda się od stóp do głów, policja miejscowa wypytuje się o jego stosunki, pozycją społeczną, ocenia mienie i reputacją, a gdy biedny pacjent jest w mniemaniu, że do nieznajomego zbliża się towarzystwa, jest on już doskonale znany, i odbiera wyrachowane na jego wartość spojrzenia i ukłony. Gdyby taki rekrut zrozumiał od razu te spojrzenia i ukłony, poznałby niezawodnie, jak u towarzystwa jest zapisany; ale on biedny przychodzi do poznania często za późno, a przy powszechnym śmiechu musi się cofać ze sfery mu nie przynależnej, i odpowiedniejszego dla siebie szukać kółka.

Z tejto zasady odróżnienia się pochodzi zbytek w ubiorach. Każdy roztacza swoje bogactwa, a że próżność za szczupły tutaj do tego ma zakres i tylko na zwyczajny rozmiar ciała ludzkiego się ogranicza, to też używa się tego rozmiaru jak tylko można, a niejedna wcale zgrabna figurka, wygląda tam jak paw z całem różnobarwnem bogactwem pierza swego. Taki przepych wystrasza ubóstwo w najciemniejszy kąt miejsc publicznych, a mniej zamożni tworzą kółko odosobnione, któreby gdzieindziej wcale nieistniało. Takie rozdrobnienie wyczerpuje siły towarzystwa, a jeźli coś nadzwyczajnego nie zajdzie, towarzystwa kąpielowe nudzą się niepospolicie!

Owóż na taki moment nudów trafił Robert.

Z okna swojego poddasza mógł on przejrzeć całą główną ulicę. Był to widok najrozmaitszy w świecie. Wszystkie kolory tęczy walczyły tutaj między sobą o jaskrawość, i trudno było dopatrzeć momentu, gdzie te kolory zgodnie ugrupować się mogły. Środkiem ulicy toczyło się kilka dam niepospolitej objętości, szeleszcząc jedwabiem, w ciężkich łańcuchach na szyi, które nie nader szczęśliwie próbę siarki wytrzymały. Tam znowu koło sadzawki odmierzonym krokiem w tył i przód z całą swoją liczną familją kroczy pan Maciej. Schodząc z posesyi, odłączył się już od dawnego swego towarzystwa, a nie ukończywszy jeszcze kupna wioski, niewszedł w tytuł dziedzica, a zatem niemoże jeszcze do ich koła należeć. Obrał więc sobie neutralne stanowisko i zwinął skrzydła ów nietopetrz społeczny, a nikt z z gości niemógł dotąd się dowiedzieć, czy jest ptakiem czy czworonożnym. Wziął on sobie przykład z pani Mateuszowej, żony uczciwego posesora. Pani Mateuszowa zapisując się w listę przybyłych, opuściła nader dowcipnie swoj charakter, pisząc tylko imię wsi dzierzawnej. Policja miejscowa pomyliła się, policzyła ją między dziedziczki, a te przyjęły ją w swoje grono. Ale na nieszczęście, za dwa tygodnie przybył kochany małżonek, z twarzą ogorzałą, z rękami popękanemi od pracy i słońca, w jakiejś odwiecznej kapocie, na wozie prostym, a niewiedząc wcale o dyplomacyi swojej Magdusi, opowiedział wszystkim w obec i każdemu z osobna, że jest posesorem nieszpetnego wcale folwarku. To odkrycie odjęło pani Mateuszowej cały urok, a wydalona od wyższego towarzystwa, tuła się ponad sadzawką samopas, i tylko pan Maciej kiedy niekiedy jakie słowo do niej szepnie.

Wiele to takich było podobnych wydarzeń, bo przy każdej przedsięwziętej puryfikacji towarzystwa odpadywało mnóstwo podstępem weszłych intruzów, jak paździerze z włókna konopianego. To też rezultat był taki, że więcej było paździerzy niżeli włókna, nie pomnąc już na błoto,

przyczepione do samych korzeni, które za pierwszem wstrząśnieniem na cztery wiatry odlatywało.

Robert skierował swoje oko w najświetniejsze ubiory, widział wiele bogactwa i przepychu, mnóstwo strojów zagranicznych, słyszał jakiś głuchy gwar rozmowy swojskiej i nieswojskiej, śmiechy, żarty i dowcipy, widział modnie strojnych kawalerów, jakby ich kto żywcem z paryskich bulwarów był porwał, i jak jakich Habakuków, w karpackiej opuścił kotlinie, to wszystko widział nasz „filozof z poddasza“ ale Julii nie widział.

Wreszcie przyszła i muzyka miejscowa, zajęła miejsce w altanie nadpowietrznej, a stoletnie dęby i sosny słuchały z powagą szalonych tonów galopady, podczas gdy towarzystwo jeszcze szaleniej się śmiało i jeszcze głośniej rozmawiało.

Teraz zbiegła po otwartych schodach najlepszego budynku wesoła blondynka, w rannym czarującym stroju. Chód jej był tak lekki, i cały jej ruch tak jakoś harmoniował ztaktèm muzyki, że patrzącemu z poddasza poecie zdawało się, że potęga trąb i klarynetów zwolniła przykute do skał *Echo* mitologiczne!..... Robert spojrzał jeszcze raz.... ach była to Julia!

Lekko i figlarnie skoczyła w pośrodek ulicy a scena przybrała tam inną postać. Zaszeleściały jedwabie, parasolki utworzyły obręcz tęczową a dygów, wykrzykników polskich i niepolskich co nie miara!W krótce utworzyło się koło kobiet, a ciemny orszak mężczyzn zbliżył się teraz do Julii.

Z pomiędzy męczyzn wyszczególniał się ubiorem i postawą słuszny a wysmukły brunet, ubrany z fantazją i prawdziwie francuską pretensją. Miał on na sobie kurtkę excentrycznie krótką, koloru migdałowego, butynki z kamaszami o jasnych guzikach i lekką, skórzaną czapkę angielską. Drobna, prawdziwie arystokratyczna ręka świeciła jasną, świeżą rękawiczką, u szyi niedbale *à la Byron* zawiązanej chustki wystawały dwa duże kołnierze koszuli z szarego jedwabiu. Cała jego figura była tak żurnalowa, każdy ruch tak gładki, tak okrągły, znalezienie się tak miłe i ujmujące, a jeśli jeszcze do tego dodamy piękną urodę, rzadki dowcip a nadewszystko ładne imię i olbrzymią fortunę, a będziemy mieli przed oczami prawdziwy ideał wszystkich matek i córek w kąpielach.

Takim też w istocie był pan Artur, i dziwiono się tylko temu, dla czego tak szczęśliwy kawaler na scenę popisu wybrał sobie tę kotlinę karpacką, jeśli i na scenie europejskiej mógł z sukcesem debiutować. Pan Artur miał jednak własne swoje powody, a nawet zdawało się nie dbał o hołd powszechny, jaki mu wszystkie matki i córki składały.

Nie wiele mogło być podobnej młodzieży; to też kółko jego towarzystwa męskiego zaledwie czterech członków mogło naliczyć. Był to prawdziwy wyskok młodzieży, jakieś przypomnienie francuskiej „*jeunesse dorèe*“ bo też prawdziwie za każdym ich krokiem kapało złoto najlepszej próby. Konie, faetony, kariolki, lokaje z bordurami, kamerdynerowie w czarnych frakach, wszystko to należało do owej czwórki szczęśliwej i imiona jej rozniosło szeroko po całym zakładzie — dalej, niżeli je roznieść mogła liczna służba na guzikach herbowych.

Takie towarzystwo otaczało teraz Julią, a patrzący z poddasza poeta poprzysiągł w duszy, że nigdy dobrańszej nie widział harmonii. Julia w jasnej liliowej sukni wyglądała jak kwiatek, koło którego uwiły się liście barw ciemniejszych.

Z wielką roskoszą wpatrywał się Robert w tę grupę malowniczą, poił się łagodnością barw i kształtów, bo zdawało mu się, że wszystko to służy tylko do uświetnienia Julii. Po raz pierwszy w życiu spojrzał na społeczeństwo okiem przychylnem, po raz pierwszy widział w jego formach jakąś ładną harmonją, a co większa, on uznał, że te formy stanowią konieczny każdego towarzystwa warunek, że potrzebne są koniecznie, gdy się do ludzi zbliżamy, że bez nich świat nas nie przyjmie, a może nawet, jak owego bez szaty godowej, wrzuci tam gdzie płacz i zgrzytanie zębów... (C. d. n.)

DZIKIE SNY.

Nie drzyj serce tak ku burzy!
Jak spokojnie tu?!
Szemrzą drzewa — fala wtórzy,
Tej piosence snu.

Dziwno! dawniej śniłem tyle
Snułem marzeń nić,
Dzisiaj chciałbym choć na chwilę
Tak jak dawniej śnić.

Nieraz pośród burzy wycia
Jam o gwiazdce śnił;
Dzisiaj wianek myśli życia
Z gromów mi się zwił.

O przycisnę do tej ziemi
Rozpaloną skroń,
Może, może chłody swemi
Wleje pokój doń.

Przeszłość — przyszłość piorunami
Jak piekielne sny,
Grają w duszy; nad falami
Gaik liściem drzy.

Mieczysław R...

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

II.

W LUBIENIU.

(Ciąg dalszy.)

Z podziwieniem słuchał pan Felix panią Kruczkiewiczową, i ogromny powziął szacunek dla moralnej nad sobą wyższości pani komornikowej, której mąż nawet byłby dumnym z genialnych pomysłów takiej połowicy, co to jednym strzałem, po mistrzowsku, dwa ustrzeliła w lot ptaki: matkę i córkę.

Panna Emilia zaczynała się rozczulać na prawdę. Pan Felix nie był brzydki, majątek nie zawadził mu bynajmniej a do tego, o ile pamięcią zasięgnąć mogła, nie była ona dotąd nikomu „*ubóstwianym*“ ideałem. A czas przecie już po temu. Z pod oka więc spojrzała na niego, a spojrzenie to nie było wcale srogiem.

— I cóż Milciu moja! mówiła dalej komornikowa głosem coraz słodszym, nic nie przemówisz do zakochanego. Ja czuję jak twoje niewinne serduszko bije gwałtownie; i porwała ręce młodej pary, i złączyła je w czułym przyjacielskim uścisku.

— Bądźcie szczęśliwi! rzekła. i rękę przyłożyła do oczów by zetrzeć mimowolną łzę własnego rozczulenia!

I jakże nie miała się komornikowa rozczulić? wszakże tu szło o piąty procent od 50.000!

Pan Felix nachylił się pokornie, zwrócił oko ku zaimprowizowanej kochance, i chociaż w skutek spojrzenia sobie właściwego, nieco zezowatego, miasto jej twarzy ujrzał na zegarze zbliżającą się piątą godzinę, niemniej przeto przyłożył chłodne usta do chudej, lecz dość białej i kształtnej rączki, i zaszeptał głosem niepewnym:

— Tak jest, kocham cię pani... kocham.... już dawno nie pomnę kiedy ujrzałem po raz pierwszy... w teatrze, czy mogę mieć nadzieję?..... i powtórnie przyłożył usta do początku wszelkiej miłości.

Lekkie ale wyraźne uściśnienie ręki było dostateczną odpowiedzią. Pani Kruczkiewiczowa zaczęła czegoś zapamiętale szukać w przeciwnym kącie salonu, a kochankowie, zostawszy sam na sam, zrozumieli i pojęli czego nie wypowiedzieli, gdy dolatywał ich z drugiego pokoju chrapliwy głos komornika, wychwalającego Wyżniową z przyległościami, z gorzelnią, wołownią, stawem, lasem i łanami podolskiemi. I milczeli młodzi, zatopieni w *ideałach*! Marzyli oboje, a marzyli cudownie. On o posagu a ona o pięknej przyszłego męża włości.

Jeszcze chwil kilka i zapadła kortyna odegranego dramatu, którego aktorowie żegnali się wszyscy zadowoleni. Pan Felix że dostał posażną narzeczoną, panna Emilia że znalazła znawcę swych wdzięków; mamula, że złapała skromnego i bogatego zięcia, nakoniec Kruczkiewicze, uśmiechający się w duszy do zapewnionych sobie 2500 ryńskich. Na schodach jeszcze dodał Kruczkiewicz wyprowadzając pana Felixa:

— Dalszych instrukcyi udzieli panu Szpakowski.

Pan Felix wypadł z domu jakby z łaźni, i krzyknąwszy na stangreta.

— Do kawiarni! pognał powozem.

Pod markizą zewnątrz kawiarni czekali nań Szpakowski ze starozakonnym Herszem, któremu ten szumny zajazd nie mało zaimponował, i do redukcyi w ułożonym już rachunku zniewolił.

Pan Felix dumny, jak triumfator siedział w powozie, i niemyślał nawet wysiadać.

— Czy nie wysiądziesz? zapytał Szpakowski.

— Nie ma potrzeby! odrzekł krótko, a w głosie jego odzywała się prawdziwa butność szlachcica, czującego grosz w kieszeni.

— Interes już skończony z *panem* Brilantem.

— Je ne veux plus faire des dettes.

— Vous? vous avez dejà de l'argent.

— A tak! zapomniałem ci był powiedzieć, że poczciwa Weroncia pomogła mi.

— Postawiłeś mnie we fałszywem położeniu, bo cóż powiem teraz starozakonnemu.

Nie szło tu zupełnie Szpakowskiemu o fałszywe położenie, z którego on zwykle nigdy nie wychodził, ale on tracił nadzieję łapowego, jakiego się z obu stron spodziewał.

— Ba! odrzekł Felix lekceważącym głosem, powiedz mu cokolwiek, on ne se genê pas, avec ces juifs la!.

Szpakowski zamilkł, i tylko do czarnej księgi uraz niezapominanych zapisał sobie postawę jeszcze Felixa w której przebijało, że zbliżając się do pożądanego celu, mało już zważał na koleżeńskie usługi przyjaciela.

— Czy wracasz ze mną do Lubienia?

— Nie mogę, odpowiedział Szpakowski, wszak wiesz że muszę tu zostać dla dopilnowania twego interesu. I jakże? czy podobała ci się panna Emilia?....

— Wcale nie zły futerał na 50.000 ryńskich, odrzekł z uśmiechem pan Felix, któremu z butnością przybył i dowcip.

— Adieu! mój drogi! czekam na ciebie w Lubieniu z dobremi wiadomościami.

— Do widzenia się pojutrze! zawołał Szpakowski za odjeżdzającym panem Chromackim.

Pan Felix wpadł jeszcze do Żorża, by pożegnać się ze siostrą, a przypomniawszy sobie odebrane od niej 500 ryńskich, wrócił się ode drzwi, aby raz ją jeszcze serdecznie uścisnąć. Wszakto tak łatwa wdzięczności oznaka, i jak łatwa tak też i szczera.

I wesoły, gwizdając jakieś różne nuty, wracał szczęśliwy pan Felix do Lubienia.

Na błękitnem tle nieba wykroił księżyc swoją bladawą a pyzatą twarz, z jaką od tylu wieków patrzy obojętnie na tyle przeminionych pokoleń swoich romantycznych wielbicieli. Szerokie równiny Lubienia oświecał tym razem niepewnem i migającem światłem. Wieczór był cichy i ciepły, jak wszystkie powieściowe wieczory, jeżeli mają służyć do czułej pogadanki, jakiej każdy z czytelników już się naprzód domyśla. A cicho było w około i dziwnie romantycznie. Spokój przyrody przerywały tylko monotonne grzechotanie żab i dalekie obwoływanie nocnego stróża. W parku tylko kąpielowym odzywał się jeszcze ruch niejaki; czasem zaszeleści gałązka lekko potrącona, piasek zaskrzypi pod nogą, cień biała, gdyby duch jaki przemknie, lub ciemna postać prześliźnie się jakby ptak nocny. Jednem słowem goście kąpielowi nie spią jeszcze, i nie mając czem lepszem się zająć, błądzą po ścieżkach ogrodu...

Z celem czy bez celu? Jak się uda, jak się to zwykle dzieje w życiu ludzkiem. Są tam próżniaki, są i marzyciele, co po części na jedno wychodzi. Marzą o przeszłości, o przyszłości; jedni o kochance w postaci romantycznej, czułej, drudzy o kochance także, w postaci realnej: posagu, protekcji, znaczenia.

Przechadzające się grona to się łączą to rozbiegają, a rozmowy, jakby dla uczczenia cichego i poważnego wieczora wiośnianego, ciszej niż zwykle prowadzone, przerwie głośniejsze ozwanie się, czasem śmiechu, czasem westchnienia.

W jednem z liczniejszych gron, które złączone przypadkiem z różnych strón zlało się, i płynęło środkową aleją przemagały westchnienia, i romantyzm na zimno, jak to zwykle bywa, gdy się zejdzie kilka młodych kobiet, którym się zdaje, że im nadzwyczaj do twarzy melancholijna postawa.

— Ach! i och! odzywały się panie patrząc w księżyc.

— Co za wieczór! Quelle soirée delicieuse, wtorowały drugie spoglądając w ciemniejsze ogrodu klomby.

— Quel parfum! ozwała się inna romantyczka z noskiem do góry wyciągniętym.

— A winszuję państwu zapachu siarczanego błota! ozwał się głos męzki nowego przybysza.

Ozwanie się jego przerwało romantyczne usposobienie; kilkananaście chustek batystowych pobiegło z pospiechem do nosa i Towarzystwo zatrzymało się, i głośnym śmiechem powitało naszego Szpakowskiego, który walczył naprzeciw siarce dymem cygarowym.

— Pan jesteś zimny prozaik! ozwała się ładna brunetka. Czyż się godzi w tak uroczystej chwili strącać wszystkich z pola poezji i marzeń w rzeczywistość kału siarczanego.

— Piękna mi poezja z zatkanym nosem, i z głową zadartą ostrożnie, by się gdzie o drzewo nie rozbić, lub sukni nie zaczepić o krzak wilgotny.

— Brawo! brawo! ozwało się kilka głosów, którym towarzyszył śmiech wesoły.

Szpakowski w sam czas przybył, by przerwać monotonną ciszę sztucznego romantyzmu, który wszystkim zawadzał.

— Poezją trzeba mieć w sobie, a zdybie się ją wszędzie; rzekła półgłosem piękna brunetka, i jakby nie chcąc dzielić wesołej zabawy, szła dalej wolnym krokiem sama jedna ku samotnej ścieżce, ku samotnej łące.

Postrzegł to nasz bohater, który także myszkował po ogrodzie. poznał pannę Julją i wprawnem okiem obejrzawszy topografią miejscową, zapuścił się w inną równoległą ścieżkę, by przypadkiem niby zajść drogę samotnej marzycielce. Spiesznym naprzód biegł krokiem. Lecz im się więcej zbliżał do łąki, gdzie się ją zdybać spodziewał, tem powolniej szedł. Bo w głowie, nie powiem w sercu pana Feliksa różne powstawały wątpliwości.

Wszak przed rokiem jeszcze starał się on o względy panny Julii i o ile sobie pochlebiał, uzyskał je. Lecz nagle zwinął chorągiewkę przed ową podróżą węgierską. Jakże tu przystąpić teraz, jak zawiązać rozerwaną nitkę sympatyi? A może też wie już Julia o jego posagowych wyprawach? bo to w Lubieniu, podczas pory kąpielowej tyle zjeżdza się osób z tylu stron, a nudy kąpielowe i czas próżnowania przerywają zwykle udzielaniem sobie wzajemnych lokalnych plotek, które tym sposobem przenoszą się zwiększone i upiększone z jednego końca prowincji na drugi.

Wszystko to prawda! lecz pomimo tych refleksji waleczny pan Felix ruszył naprzód, bo gdzie idzie o zdobycie posagu, tam trzeba odwagi cywilnej, która u konkurentów w wysokim bywa stopniu i na miedzianem spoczywa czole. A nuż expedycja na 50.000 panny Emilii nie uda się! trzeba więc mieć gotową rejteradę ku 30.000 panny Julii. Wszak dobry wódz i o rejteradzie pamiętać winien.

Panna Julia, o której pułkownikowa lubiąca pasyami definicje swojego układu, mówiła: C' est une bourgeoise! była córką zmarłego konsyliarza Draniewskiego. Była ona córką rozsądnej matki i rozsądnego ojca. Że rozsądną była jej matka, dowodziło wychowanie panny Julii, domowe bez przesady, które nadało jej to lepsze i prawdziwe wykształcenie kobiety z sercem i głową na swem miejscu. Nie bawiła się ona w George Sand, nie wdawała się w rozprawy filozoficzne, ale rozumiała i czuła „pana Tadeusza” znała historją i kochała pamiątki narodowe. Dobra i łagodna, z sercem może nadto czułem, Julia stworzoną była na *prawą* obywatelkę, na dobrą żonę i matkę. Jedną miała niestety wadę: czując w sobie naturalny popęd do dobrego, wierzyła w prawdziwość i świętość uczuć, wie-

rzyła w uczciwość i szczerość ludzi, wierzyła ślepo, powiedziałbym nawet głupio.

Taka była strona duszy i serca panny Julii, o stronie ciała nic nie powiem, bo najprzód nam w niniejszej powiastce nie idzie zupełnie o wdzięk ciała ale raczej o dźwięk metaliczny, posagowy. A potem lubownicy opisowi oczu czarnych jak piekło, lub szafirowych jak niebo, warkoczy kruczych, cyprysowych, szyi łabędziej, ust koralowych i różanych, ząbków słoniowych i perłowych, a liców liliowych lub alabastrowych, znajdą je oddane daleko lepiej i estetyczniej, i rzęsisty w tej mierze mogą mieć wybór w którejkolwiek z powieści naszego Korzeniowskiego, lub Dzierzkowskiego.

Panna Julia jak mówiłem, prócz matki rozsądnej miała również, jeżeli nie więcej jeszcze rozsądnego ojca. Nieoszacowany ten ojciec, zostawił bowiem Julią: *jedynaczką* i dziedziczką trzydziestotysięcznego majątku. Każdy przyzna że byłto dowód prawdziwie wielkiego konsyliarskiego rozumu.

Poezja była ulubionym przedmiotem panny Julii, jak każdej dziewczyny szczerze uczuciowej. W tę to stronę postanowił uderzyć nasz bohater i z tej strony uśmiechała się doń nadzieja zwycięztwa. Jakoż śmiałym już krokiem szedł naprzód pan Feliks, który nie bez pewnego przygotowania przystępował do tej dawno upragnionej z nią potyczki. Jakoż nagle stanął obok niej i nagle przemówił głosem, który, o ile tylko potrafił, zastósował do chwili; i do okoliczności; bo w wyraz głosu tego wepchał wszystkie najczulsze odcienia żalu, tęsknoty, wyrzutu i innych uczuciowych fantasmagorij.

— Przerwałem może miłe jakie marzenie?

Julia nie odskoczyła przelękniona, nie udawała ani przestrachu ani zadziwienia, naturalnym jeno, choć smutnym może odrzekła mu głosem:

— W rzeczy samej marzyłam, a marzenia moje jak wszystkie marzenia, zawsze miłe są, choć się opierają po większej części na smutnych wspomnieniach.

— O kimże?... jeżeli wolno spytać.

— O wielu, o bardzo wielu, bo o tułactwie nieszczęśliwych, których Bóg wie, czy kiedy widzieć będziemy, marzyłam, i... o przeszłości, dodała po chwili rzuciwszy nań wzrok wyrzutu.

— Daruj pani niestósownemu z mej strony żartowi, bo ja chciałem... pragnąłem... dowiedzieć się...

— Czy o kim nie myślę? Nieprawdaż? — Nie! o nikim szczegółowo nie myślałam. Powtarzam panu że myślałam o wszystkich nieszczęśliwych.

— A więc i o mnie! bo i ja do szczęśliwych nie należę! przerwał pan Feliks, a westchnął głęboko.

— Pan? daruj, że widząc bawiącego się w kąpielach ledwie mogę temu uwierzyć.

Pan Felix spotęgował westchnienie, a twarz niemiłosiernie skrzywił. Ta karykatura miała oznaczać uosobione nieszczęście.

— I pani szydzisz! jak drudzy! bo czyliż obojętny może dostrzedz cierpienia, co tam wewnątrz szarpie serce? I czyliż mam głośnemi skargami wzbudzać śmiech zimnej gawiedzi?

Julia zamilkła zmieszana nieco, bo jej serce poczciwe wierzyło, i miało współczucie dla każdej skargi, a może też w tej pana Felixa skardze odezwało się coś, co znalazło oddźwięk w jej własnych wspomnieniach. Po chwili więc spytała z nieśmiałością:

— Ale dla czegoż pan cierpisz?

— I pani mnie o to pytasz?

— Nie rozumiem pana.

— Lub nie chcesz rozumieć tego pani, że ją kocham kocham zawsze, kocham z szczerym zapałem, a cierpię, okropnie cierpię, widząc twoją obojętność.

— A wyjechałeś pan tak nagle z Szczawnicy! ozwala się Julia szybko i bez namysłu...... A od owego kuligu rok przeszło minął, i pan nie bywałeś u nas, dodała, ale cichuteńko.

— Pani nie uwierzysz może, ale świadczę się Bogiem i honorem: że prawdę mówię.... Nagłe interesa, sprawa honorowa.... powołały mnie daleko ztąd.... Byłem aż na Ukrainie... zbieg okoliczności nieprzewidzianych przeszkodził, czyli raczej niepozwolił uprzedzić pani. (C. d. n)

Rozmaitość.

* **Z nad ujścia Wisłoki.** „*Verbum nobile się rzekło, kobyła stoi u płotu.*“ Obiecałem korespondować z wami, i jak mogłem dopełniałem tego przyrzeczenia, bo mnie nie tylko nęciło przysełane *gratis* Nowin. Ale niech tam kto co chce mówić, przecież to miło Ruralisom czytać swoje koncepta drukowane, tem bardziej dla tych, co za czasów młodszych kiedy Wysłobocki wykładał kaligrafią, z tego nie korzystali i dzisiaj tak piszą że sami szęsto swojego pisma odczytać niezdolni. Zapewne tej mojej kaligraficznej ułomności przypisać należy, że czasem się zdarzy iż mojej korespondencyi nie poznaję, a czytając ją drukowaną biorę się za głowę, co u mnie jest nader niebezpiecznem, bo prócz nietęgiej głowy, ta głowa już tylko resztkami czupryny pokryta, a jako głowa nieszczęśliwego gospodarza ziemskiego często na takie bierne chwytanie wystawiona, gotowa nakoniec zmienić na kolano, jeśli jej jaki cudowny olejek albo też zręczny perukarz nie przyjdzie w pomoc. Dla oszczędzenia zatem mej głowy od widocznego szwanku, będę się starał pisać czytelniej, upraszając szanownej redakcyi, żeby także z swej strony choć przez mikroscop moją bazgraninę odczytywała.

Gdybyś nareszcie redaktorze zapytał mnie o korespondencją z czerwca, przytoczyłbym ci ustęp z dziadów Mickiewicza, gdzie chcącego popełnić samobójstwo spytano: „Czy znasz ty ewangelją?“ A on odrzekł: »A znasz ty nieszczęście?« Otóż i ja zapytany o korespondencją powiedziałbym ci: »A znasz ty Ś. Jan?“ Ś. Jan bowiem stanowi u nas ważną epokę życia, która ma wiele *za* i *przeciw.* Za nią przemawiają wszyscy dziedzice, odbierający czynsz u dzierżawcow, wszyscy służący, co nie mogąc uciec i wytrzymać u swoich

chlebodawców dzień ś. Jana uważają jakby dzień zbawienia. Za dniem ś. Jana przemawiają kapitaliści i lichwiarze, że w tym dniu albo kapitał albo przynajmniej procent ich nie minie, przemawiają za nim także adwokaci co w terminie kończenia i zaczynania interessów, czyli kontraktów, widzą obfite pole do żniwa, bo dla nich zawsze jest żniwo gdzie są interesa. Jeżeli zatem są tacy co z niecierpliwością wyglądają dnia ś. Jana, nierównie więcej jest takich co dzień ten radzi by wymazać z kalendarza. Szczególniej on się daje tym we znaki, a których daleko jest większa liczba, którzy mają płacić, a jakże tu płacić kiedy stagnacja w handlu, kredytu niema a człek tego co mu się należy odebrać nie może; są bowiem ludzie szczęśliwi co oszukują, zarywają, ba nawet uciekają się do nie bardzo godziwych środków, aby tylko się uchylić od exekucyi i wierzycieli z kwitkiem puścić; są tacy co popełniają czyny za które żydy by się rumieniły, a jednak używają dobrej sławy, mają kredyt, pieniadze i często na panów chorują, gdy inni choć ostatnim groszem z wierzycielami się podzielili, nie mają szczęścia do ludzi, ale *quod licet Jovi, non licet bovi.*

Zapewne domyślisz się redaktorze że do Jowiszów nie należę, za co jednak mam być wołem jak mi Bóg miły nie wiem, bo nawet w herbie ciołka niemam. Już to po prawdzie powiedziawszy po kądzieli mam tam jakieś zwierzęta na tarczy, ale co pół kozy i cała ośla głowa to przecie nie ciołek. Lecz dość już tego pisania o sobie. To jakoś na prywatę zakrawa, ale wybaczcie, bo to ś. Jan tak mnie dokuczył żem musiał sobie ulżyć wylaniem tej żółci. (D. n.)

* Jakkolwiek tylu widzieliśmy już mistrzów w sztuce kuglarskiej, iż zdaje się nic już nowego w tej mierze zabawić i zadziwić nas nie może, przecież pan Bergheer potrafił przedstawieniem swojem nas rozerwać, zająć i niektóremi mianowicie sztukami wzbudzić ciekawość powszechną. Nie działa on to tyle przez nadzwyczajność i nowość pokazywanych sztuk, ile przez sposób w jaki je wykonuje. Odznacza się on głównie wielką zgrabnością i szybkością dochodzącą w nim do najwyższego stopnia i tem nareszcie że nieużywa owych zastawionych rozmaitemi przyborami stołów kuglarskich, pełnych sprężyn, wysuwek i wklęsłości, za pomocą których znikają, pojawiają się i przemieniają rozmaite przedmioty. U pana Bergheera jeżeli są jakie przybory, to chyba przy nim, dziwnie sztucznie ukryte, i dla tego właśnie najwybitniej występuje ta w sztuce kuglarskiej najwięcej zajmująca część, którą stanowi zgrabność samych palców. Kilka mianowicie z pokazanych sztuk odznaczało się w tym względzie. Już przy samym wstępie zajął on wszystkich niepospolicie, gdy z po za próżnej chustki kolorowej, z siebie, czy z niej wyczarował dwie ogromne czary z wodą i kilkanaście kurcząt. W podobnym rodzaju jest także mnożenie monet, które po przed oczami wszystkich w powietrze zda się rzucać i z powietrza dobywa i w coraz większej ilości wsypuje do obcego kapelusza. Albo znowu z obcego także kapelusza, widocznie nieprzemienionego i próżnego wydobywa masse piłek, które mu w rękach rosną i mnożą się, później cynowych kubków ze dwadzieścia, aż nareszcie wyrzuca ku publiczności deszcz cukierków i prawdziwy potop kart. Dwie wszakże sztuki najwięcej zaintrygowały publiczność i bardzo słusznie, bo wykonanie onych nader zagadkowe, sprawiać musi niemałe podziwienie. Jest to zgadywanie samej pani Bergheer, i jej w końcu zniknienie. Zniknienie to wykonane bardzo szybko na stoliku do którego się przecież pani Bergheer schować nie może, pod chwilową pokrywką lekkiego muszlinowngo futerału, jakkolwiek je sobie kto zechce wytłumaczyć, jest zawsze dowodem niepospolitej zgrabności obojga sztukmistrzów, i bodaj czy nie więcej jeszcze samej pani Bergheer. Lecz najtrudniejszą do odgadnienia, a tem samem najwięcej zajmującą jest tajemnica, jakim sposobem p. B. nie będąc jasnowidzącą ani z natury, ani przez zamagnetyzowanie, zgaduje wszystkie przedmioty jakie w najodleglejszych kątach teatru podają mężowi, i o które tenże ją pyta. I to nie same zwykłe przedmioty, ale pomiędzy innemi odgadywała monety francuskie i rossyjskie, papiery nasze bankowe z oznaczeniem ich wartości i daty ich wybicia; poznawała wreszcie mniej zwyczajne przedmioty, jakto farbiarskie marki, instrumenta różne i t. d. I sposób w jaki następują pytania i odpowiedzi, jest nadzwyczaj pojedyńczy i nie objaśnia tajemnicy. Pani Bergheer siedzi na scenie z zawiązanemi oczyma, a pan Bergheer bierze podawane sobie przedmioty, i zadaje mniej więcej jednakowe i krótkie bardzo pytania. Cudu w tem niema, ale właśnie dla tego węzeł tej tajemnicy jest bardzo ciekawy i zajmujący, bo każdy przyznać musi temu nowemu z resztą wymysłowi jakąś podstawę trafnie i dowcipnie ułożoną. W tej sztuce jest niezaprzeczenie nie tylko zgrabność ręki, ale i umysłu. Jednem więc słowem wieczór cały przeszedł przyjemnie; zabawiono się, nieraz naśmiano, co już w dzisiejszej chwili właśnie najrzetelniejszym jest zarobkiem. Jak na pierwsze przedstawienie takiego mianowicie widowiska, przy którym każdy niemal czeka, aż się dowie od sąsiada o jego wartości, teatr był dosyć napełniony.

* Cholera we Lwowie w ostatnich trzech dniach więcej jak o połowę się zmiejszyła.

* Do dzisiejszego Numeru dołączona jest rycina mód i arkusz wzorów do haftów.

Przyjechali od dnia 18. do 19. Lipca do Lwowa.

PP. Rodkiewicz Stanisław z Nowegosioła. Karnicki Teodor hr. z Michałowiec. Komorowski Kazimierz hr. z Brzeżan. Krzeczunowicz Franciszek z Jaryczowa. Baworowski Włodzimierz hr. z Strussowa.

PP. Niewiadomski Tadeusz z Soposzyna. Cielecki Włodzimierz z Burkowca. Dobrzański Julian z Milatyna. Załęski Leon z Kolbajowiec. Niezabitowski Napoleon z Nakła.

Wyjechali od dnia 18. do 19. Lipca ze Lwowa.

PP. Jego Ces. Mość Arcyksiążę Karol Ferdynand do Krakowa. Koziebrodzki Justian hr. do Krakowa. Golejewski Felix hr. do Hruszowa. Bobowski Konstanty do Tarnopola. Gołuchowski Artur hr. do Łosiacza.

PP. Oczosalski Stefan do Winnik. Puzyna Józef do Słobudki. Baworowski Józef hr. do Tarnopola. Komorowski Adam hr. do Konotop.

Lwów, 20. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po — złr. — kr. do 37 złr. 30 kr. — Żyta po 16 złr. 40 kr. do 25 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr do — złr. — kr. Owsa po 7 złr. 30 kr. do 10 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 19 złr. 30 kr. do 20 złr. 30 kr. — Ziemniaków po — złr. — do — złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 42 złr 30 kr. Sosnowego po 40 złr. — kr. do 40 złr. w.w. Cetnar siana 3 złr. — kr. do 3 złr. 55 kr. Centnar słomy 2 zł. 30 kr. do 3 złr. 7½ kr. w. w. Garniec 30 topniowej okowity bez opłaty 4 Złr. — kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	38	złr.	5	kr	42
Dukat cesarski	«	5	»	42	»	5	»	44
Półimperyał zł. rosyjski	«	9	«	44	»	9	»	48
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	52	«	1	»	54
Talar pruski	»	1	«	48	»	1	«	50
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	22	»	1	»	23
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	20		93	»	40
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		69	»	20	»	60	«	50
5 proc. pożyczka narodowa		83	»	—	»	84	»	—

Do dzisiejszego Numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 86 z roku 1855.

Nakładem H. W. Kallenbacha we Lwowie

wyszły:

4 Mazures

pour le

PIANO

par

ADAM BERSKI.

op. 8.

Prix 30 kr. m. d. c.

Reminiscences à la patrie.

QUATRE MAZURES

pour le

PIANO

par

ADAM BERSKI.

Oeuvre 10.

Prix 45 kr. m. d. c.

QUADRILLES

sur les motifs de l'opera de G. Meyerbeer

l' étoile du nord

pour le Piano

par

J. Ladislas de Madurowicz.

Prix 30 kr. m. d. c.

ELEONORE.

POLKA

pour

PIANO

composée par

CONSTANTIN PLITHOS.

Prix 24 kr. m. d. c.

Les étoiles.

TROIS VALSES

pour le

Piano

par

Marcel Madejski.

Prix 30 kr. m. d. c.

NAD KOLEBKĄ

Piosnka

z towarzyszeniem fortepianu,

wiersz

Karola Schajnochy,

muzyka

Marcelego Madejskiego.

Cena 45 kr. m. k.

POSYŁKA.

Pieśń

na Mezzo-Soprano,

wiersz

M. B. Antoniewicza

muzyka

MARCELLEGO MADEJSKIEGO

Cena 45 kr. m. k.

OUADRILLES

sur des airs favoris

de l'opera

INDRA DE FLOTOW,

pour le Piano

par

Jean Ruckgaber.

Prix 30 kr. m. d. c.

Nowości literackie
w księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie:

Alzog, Jan. Historia powszechna kościoła. Przełożona na język polski według piątego wydania niemieckiego przez J. z P. B. Tom I i IIgi w duż. 8ce w Warszawie 1855. Prenumerata na 6 tomów 12 złr.

Bujnicki Kaz. Stara panna, powieść współczesna. Wilno 1855 3 złr.

Chrystowski Stef. Sposób poznawania i domowego leczenia najważniejszych chorób epidemicznie panujących między dziećmi. Dla użytku wiejskich mieszkańców. Kijów 1855. 54 kr.

Don Kiszot dla dzieci czyli najciekawsze przygody Don Kiszota i Sansza. Z wielu drzeworytami i oprawie ozdobnej. Warszawa 1855. 2 złr. 42 kr.

Gumbiner J. L. Praktyczne gorzelnictwo obejmujące najnowsze i najlepsze sposoby wyrabiania drożdży, zacierania kartofli i zboża, prowadzenia fermentacyi, i dystylowania za pomocą pary, z opisaniem potrzebnych apparatów i machyn, przełożył z niemieckiego P. E. Leśniewski z 7 tablicami ryc. w duż. 8ce. Warszawa 1850 7 złr. 12 kr.

Historya nowożytna. Ciąg dziejowy od odkrycia Ameryki, aż do rewolucyi francuskiej, przełożył na język polski L. J. 2 tomy Warszawa 1854. 5 złr. 24 kr.

Korzeniowski Józ. Powieści i opowiadania. Serya III. zawiera: Jedynaczka. Dwa śluby. Wilno 1855. 2 złr. 24 kr

Korzeniowski Józ. Powieści i opowiadania. Serya druga zawiera Scena na balu. Pojedynek. Wilno 1855. 2 złr.

Kosiński Ad. Am. Obrazki dawne i tegoczesne. 3 tomy Warszawa 1855. 7 złr. 12 kr.

Kraszewski J J. Djabeł. Powieść z czasów Stanisława Augusta 2 tomy Wilno 1855. 6 złr. 36 kr.

Książeczka pierwsza obrazkowa dla dzieci z 14 rycinami kolor. w 4ce Warszawa 1855. 2 złr.

Leczebnik homeopatyczny domowy, tłumaczony z dzieł doktorów Herynga, Hertmana i Szepmela przez J. P. Kijów 1854. 1 złr.

Martin Anais. Uwagi młodym panienkom poświęcone. Przekład M. Warszawa 1855. 1 złr.

Oczapowski Michal, Gospodarstwo wiejskie obejmujące w sobie wszystkie gałęzie przemysłu rolniczego teoryczno-praktycznie wyłożone. Wydanie drugie. 10 tomów Warszawa 1849 19 złr. 48 kr.

Potraw 1000, ciast i wetów podług najbieglejszych europejskich kuchmistrzów z dodaniem kilka słów o usłudze stołowej. Warszawa 1854. 2 złr. 24 kr.

Schlipf J. A. Nauka gospodarstwa wiejskiego podług najnowszych zasad popularnym sposobem wyłożona dla użytku praktycznych gospodarzy. Z niem. przetłumaczył P. E. Leśniewski 2 tomy Warszawa 1855. 4 złr

Dziejopisowie krajowi.

Tom I—IV. w 8ce dużej, Petersburg 1855. zawierają:

Rudawskiego W. J. Historya polska od śmierci Władysława IV. aż do pokoju Oliwskiego.
Jakóba Sobieskiego pamiętnik wojny Chocimskiej.
Jana Dymitra Solikowskiego pamiętnik rzeczy polskich.
Jędrz. Maks. Fredra, dzieje narodu polskiego.
Leon Goreckiego opisanie wojny Iwona.
Jana Lasickiego, o wtargnieniu Polaków na Wołoszczyznę.

Przedpłata za 6 tomów . . . . 18 złr.
Całe dzieło składać się będzie ze 12 do 15 tomów.

SKARBCZYK
POEZYI POLSKIEJ.

Tom I—IV w 12ce Petersburg 1855. zawierają:

Poezye Brodzińskiego, Siemińskiego, Magnuszewskiego, Witwickiego, Wasilewskiego i Bielowskiego.

Przedpłata za 12 tomów 12 złr.



Do księgarni
H. W. KALLENBACHA
przybył świeży transport
GLOBUSÓW
z najlepszej zagranicznej fabryki, zrobionych podług najdokładniejszych wyrachowań, z bussolami i kwadrantami w rozmaitej wielkości i po rozmaitych cenach, od 1 Złr. do 36 Złr. m. k.

UWIADOMIENIE.

Bióro

c. k. uprzyw. towarzystwa
Assicurazioni Generali w Tryeście
przeniesione zostanie na dniu 15. lipca 1855 r. z domu Gromadzińskich w dom pod l. 132 2/4 obok
„hotelu angielskiego“
położony, gdzie także kantor i składy podpisanego domu handlowego znajdywać się będą.

(134. 3—3) *Eugeniusz Richetti.*

(84. 14)

Podpisana

REPREZENTACYA DLA GALICYI

ces. król. uprzywilejowanej Tryestińskiej

AZIENDA ASSICURATRICE

WE LWOWIE

zabezpiecza równie jak w zeszłym roku

SZKODY NA ZIEMIOPŁODACH

PRZEZ

GRADOBICIE

wyrządzone,

bezpośrednio w biórze przy ulicy Pojezuickiej, naprzeciw hotelu angielskiego pod liczbą 175 2/4, lub też przez ajentów na prowincyi, na podstawie funduszu towarzystwa t. j.:

Wypłacając zabezpieczonemu całkowitą szkodę zabezpieczoną.

Taż sama **Reprezentacya**, jakoteż jej **Ajenci** na prowincyi udzielają **Żądającym zabezpieczenia** porzebne wyjaśnienia i blankiety do podań bezpłatnie.

Na listowne podania **Szanownych Stron** odpowiada **Reprezentacya** oznajmieniem premii, za której przesłaniem pod jej powyżej wyrażoną adresą udziela się zabezpieczenie od najbliższej 12tej godziny południowej **po odebraniu przesłanej premii**.

Listowne podania zawierać mają najprzód odpowiedź na następujące pytania w ogólności:

1) Nazwę miejsca, t. j. miasteczka lub wsi;
2) jak dawno zabezpieczenie Żądający w miejscu zamieszkały;
3) czyli można **z pewnością podać**, jak często wydarzały się w okręgu tego miejsca gradobicia, a przynajmniej, jak często w upłynionych ostatnich **osmiu latach**;
4) czyli sam poniósł w tymże miejscu szkodę;
5) czyli teraz mające się zabezpieczyć ziemiopłody nie zostały już gradobiciem, mrozami lub inuym sposobem uszkodzone.

Co do kawałków pól w szczególności:

1) Nazwę kawałka pola, na którym zabezpieczyć się mający gatunek ziemiopłodu, o ile ta nazwa znana jest zamieszkałym w miejscu, i opis granic tego poia, tak, ażeby niezachodziła żadna wątpliwość co do innych pól lub kawałków. Mały planik piórem — pojedyńczo zrobiony — może najlepiej zastąpić opis wiele czasu zabierający.
2) Ilość morgów i korcy wysiewu z oznaczeniem gatunku ziemiopłodu.
3) Wartość pieniężną spodziewanego zbioru w monecie konwencyjnej i w liczbach kończących się na nulę.

We Lwowie, w maju 1855.

1szy Sekretarz:
Leon Ostrowski.

2gi Sekretarz:
Konstanty Wodecki.